

Chop w kuchni

Był zebra Martym, a teraz gotuje po śląsku

– To ja gotuję na co dzień, żona okazjonalnie. Chyba że wyjeżdżam na zdjęcia, wówczas musi sobie poradzić sama – mówi Klaudiusz Kaufmann, aktor i autor bloga „Chop w kuchni”.



• **Klaudiusz Kaufmann jest aktorem, który lubi gotować. Od siedmiu lat ma stałą rolę w serii „Telefon 110” w Niemczech**

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ROZMOWA Z
KLAUDIUSZEM KAUFMANNEM
aktorem i szefem bloga „Chop w kuchni”

MAGDALENA WARCHALA-KOPEĆ: „Za naszych starzków to chopy do kuchni przichodzili yno pojejs, a terozki tak to sie wszystko pozmiynialo, ze sie chopy chycioly i za warzynie” – napisal pan na swoim blogu.

KLAUDIUSZ KAUFMANN: Dawniej, nie tylko na Śląsku, mężczyźni trzymali się z dala od kuchni. Czekali, aż żona poda do stołu. W mojej rodzinie było jednak inaczej. Dziadek mojego taty miał piekarnię, piekł chleb i ciasta. Mój tata odziedziczył po nim talent. Nie gotował na co dzień, ale gdy się do tego brał, wkładał w to całe serce. Były dania, które gotował tylko on, na przykład bigos czy rolady. Wtedy moja mama nawet nie zaglądała do kuchni. W moim domu jest na odwrót. To ja gotuję na co dzień, żona okazjonalnie. Chyba że wyjeżdżam na zdjęcia, wówczas musi sobie poradzić sama. Lubię eksperymentować w kuchni. Nie należę do osób, które trzymają się sprawdzonych przepisów. Często czytając nowy przepis, od razu mam pomysł, co w nim zmienię. Jeśli nowe połączenie mi zasmakuje, publikuję przepis na blogu. A to wcale nie taka prosta sprawa. Trzeba zrobić zdjęcie, obrócić je, opisać recepturę po śląsku. Dlatego nie jestem systematyczny, nie zajmuję się tym przecież zawodowo, tylko hobbyistycznie.

Przepisy podaje pan po śląsku, ale nie tylko dla Ślązaków. Pod każdym z nich zamieszca pan słowniczek.

– Blog powstał z mojej tęsknoty za Śląskiem. Wyjechałem na studia w Akademii Teatralnej w Warszawie, potem pojawiły się pierwsze propozycje aktorskie i już zostałem w stolicy. Po iluś latach, przy okazji imprezy urodzinowej, znajomi, którym smakowało to, co podałem, zaczęli mnie namawiać, żebym założył blog albo wideoblog. Zastanawiałem się przez rok, jak to ugrzyżć, i stwierdziłem, że może połączę moją pasję do gotowania z miłością do Śląska. To ostatni moment, gdy żyje jeszcze starsze pokolenie, od którego wielu rzeczy możemy się uczyć w kwestii języka śląskiego, aby zachować go dla przyszłych pokoleń. Wiem, że mój śląski nie jest idealny w zapisie. Zresztą język śląski ma wiele odmian, zależnie od regionu, więc ktoś może mi zarzucić, że u niego w domu godało się inaczej. Ale to właśnie jest w śląskiej godce najpiękniejsze, że jest żywa i osobista. Bardzo cieszę się też komentarze od

osób spoza Śląska. Piszą do mnie osoby z Mazur czy z Poznańskiego, że u nich w regionie też są podobne dania, niektóre nawet nazywają się podobnie jak u nas.

Podaje pan jednak przepisy nie tylko śląskie dania.

– Gdybym miał ograniczyć się tylko do śląskiej kuchni, byłoby nudno. Lubię kuchnię świata, nowe smaki. Lubię podróżować i potem staram się przyrządzić w domu to, czego próbowałem podczas wyjazdów. Byłem w Indiach i tamtejsza kuchnia bardzo mi zasmakowała. Kuchni tajskiej i chińskiej, które też lubię, próbowałem na razie tylko w restauracjach w Polsce. Te podróże jeszcze przede mną. Za to sporo jeździłem po Europie i z przyjemnością eksperymentuję z kuchnią francuską, hiszpańską czy włoską.

Będzie pan sam przygotowywał kolację wigilijną?

– Będę szefem kuchni, ale wspomaganym przez kilka kobiet: żonę, mamę, kuzynkę. Teściowa, niestety, złamała kość w nadgarstku, dlatego się nie przyłączy. Planuję zrobić śledziowe klopsiki w zalewie octowej i wariację na temat śledzi po kaszubsku. W prezencie dostałem dużo ryb, które czekają w zamrażarce na święta, zatem na wigilijnym stole pojawią się też sum afrykański i dorsz pieczony w całości. Polakom ze świętami kojarzy się karp. Mało kto zdaje sobie jednak sprawę z tego, że tę rybę jako króla świątecznego stołu wypromowały PRL-owskie władze. Wiedziały, że może być problem z dostępnością innych gatunków ryb, i postanowiły wcisnąć ludziom rybę tanią i dostępną. To niesamowite, że po kilkudziesięciu latach ludzie nie mają już pojęcia o tym, że dawniej były inne ryby na wigilijnym stole. Chcę o tym przypomnieć. U mnie będą też makówki i moczka, ale w wersji deserowej, bez wywaru rybnego. Zwykle przygotowuję jej tak dużo, że część zamykam od razu w słoikach, żeby jeszcze trzy tygodnie po świętach móc cie-

żyć się jej smakiem. W pierwszy dzień świąt będziemy jeść to, co zostanie z wigilii, a w drugi postawię na tradycję i zrobię rolady wołowe z modrą kapustą i kluskami.

Jak robi pan rolady? Słyszałam, że są różne szkoły.

– Do środka daję kawałek boczkę, ogórek i kawałek skórki od chleba. Tak robił mój tata. W jego przepisie zmieniłem tyle, że podlewam mięso czerwonym winem. Kluski natomiast robię bez dziurki, co dla wielu Ślązaków jest niezrozumiałe, ale moje obie omy, i ta z Opolszczyzny, i ta z Gliwic, nie robiły dziurek.

Wpływy gliwickie mieszają się zatem u pana w rodzinie z opolskimi?

– Urodziłem się w Gliwicach, ale moja mama pochodziła z Opolszczyzny, a ponieważ dziecko przyswaja w pierwszej kolejności język od matki, z niemiecka „Muttersprache”, to bardziej goldóm niż godam. Zwłaszcza że mój tata zmarł dość wcześnie, a u babci w Opolskiem spędzałem wakacje. Mój język i tradycja to zatem taki opolsko-gliwicki miks.

Zamilowanie do Śląska pokazał pan także, nagrywając audiobooki „Teatrologii gliwickiej” Horsta Bienka.

– Od dzieciństwa fascynowała mnie historia Śląska. Po książki Bienka po raz pierwszy sięgnąłem w liceum. Zafascynował mnie świat, którego już nie ma. W miejsce starych mieszkańców pojawili się bowiem nowi, co na zawsze odmieniło obraz, a nawet dźwięk miasta, bo mówi się tu już innym językiem. Książki Bienka są gorzkie, szczególnie jeśli chodzi o historię żydowskich mieszkańców Gliwic, którzy zostali wciągnięci w machinę wojny, pomimo że tego nie chcieli. Jako licealista chodziłem na spotkania poświęcone jego twórczości, na których byłem jedynym uczniem wśród dojrzałych czytelników. Te historie siedziały mi w głowie. Dlatego kilka lat przed rokiem 2020, kiedy przypaść miała 30 rocznica śmierci i 90 rocznica urodzin Bienka, pomyślałem, że chciałbym do tego czasu nagrać wszystkie cztery tomy „Teatrologii...”. Zaczęłam szukać sponsorów, ale jakoś mi nie szło. Paradoksalnie pomogła mi pandemia, bo przez to, że było mniej imprez i wyjazdów, w niektórych instytucjach zostały pewne fundusze. Udało mi się przekonać dyrekcję Biblioteki Instytutu Goethego w Warszawie do projektu i w 2020 roku nagraliśmy „Pierwszą Polkę”. Zależało mi, żeby nie był to zwykły audiobook, oparty tylko na głosie czytającego. Chciałem, żeby to było coś bliższego słuchowisku. Dlatego za-

prosiłem do współpracy kwartet smyczkowy Altra Volta ze Śląska. Wybrałem też zdjęcia, zaprojektowałem okładkę i napisałem na nią teksty. W zeszłym roku udało mi się nagrać drugi tom, „Wrześniowe światło”. Potem usłyszałem, że ze względów finansowych nie damy rady nagrać trzeciego tomu w 2022 roku. Ale w ostatniej chwili pojawiły się dobre wieści i tak powstał audiobook „Czas bez dzwonnów”. Trzeci rok z kolei świętujemy zatem jubileusz urodzin i śmierci Horsta Bienka. Niesamowite są dla mnie komentarze ludzi. Ujęła mnie pani, która napisała, że przez cały dzień w pracy myśli, że przyjdzie do domu, gdzie spotka się z moim głosem i będzie mogła posłuchać dalszej części książki. To daje mi poczucie, że moja praca ma sens.

Pana głos jest znany także z filmów animowanych. Ma pan na koncie dziesiątki ról dubbingowych. Wcielił się pan m.in. w zebra Marty’ego z „Madagaskaru”.

– To była jedna z moich pierwszych dużych ról dubbingowych. Wcześniej używałem głosu koniowi Buckowi w „Rogatym ranczu”. Świętej pamięci Joanna Wizmur, reżyserka, stwierdziła, że świetnie sprawdzam się w roli nieparzystokopytnych, i zaważczyła dla mnie o rolę Marty’ego. „Madagaskar” to była przygoda życia. Nie przypuszczałem, że będzie druga i trzecia część filmu. I choć to było dawno temu, wielu ludzi wciąż ogląda te animacje i wciąż dają im one radość.

Woli pan podkładać głos pod postaci z bajek czy grać w filmach fabularnych, serialach albo na scenie?

– To też jest niesamowite, że mogę pokazać mojej pięcioletniej córce filmy, które dubbingowałem, kiedy jej jeszcze nie było na świecie. W dubbingu można zmieniać głos, bawić się nim. Dawniej grałem więcej w teatrze, teraz szala przechyliła się w stronę kina. Przed kamerą czy na scenie aktor ma do dyspozycji wszystkie elementy: nie tylko głos, ale także mimikę, ruch. Olbrzymią rolę odgrywa charakterystyka. O jej mocy przekonałem się na własnej skórze, grając w filmie „Jak pokochałam gangstera”, który miał premierę w styczniu tego roku. Byłem policjantem, który przez dziesięciolecie ściga głównego bohatera. Charakterystyki musiałem mieć najpierw nieco odmłodzić, a potem stopniowo postarzać. Niesamowite było to, że gdy poszedłem umyć ręce i podniosłem wzrok do lustra, zobaczyłem tam innego człowieka. To było nieco przerażające. Od dzieciństwa znam niemiecki, dlatego od kilkunastu lat gram w filmach w Niemczech, a od siedmiu mam stałą rolę w serii „Telefon 110”, gdzie wcielam się w polskiego policjanta. W tym roku miałem okazję wziąć udział w zdjęciach do egipskiego filmu, który był kręcony w Libanie, a lotnisko w Bejrucie udawało Okęcie. Z kolei 20 stycznia do kin wchodzi film „Niebezpieczni dzentelmeni” Macieja Kawalskiego, w którym gram austriackiego zandarma. Miałem zaszczyt wystąpić u boku wybitnych aktorów, jak Marcin Dorociński, Maciej Kot, Andrzej Seweryn i Wojciech Meczwałowski. To była niezwykła przygoda. Widziałem już film na festiwalu w Warszawie, gdzie miał premierę, i mogę zapewnić, że to kawałek dobrego kina. Cieszę się, że nowy rok zacząć takim mocnym akcentem. ●

Rozmawiała **Magdalena Warchala-Kopeć**



Będę szefem kuchni podczas kolacji wigilijnej, ale wspomaganym przez kilka kobiet: żonę, mamę, kuzynkę. Planuję zrobić m.in. wariację na temat śledzi po kaszubsku